

Zbigniew Mentzel

Siła i bezsiła śmiechu

Jak i z czego się śmiejemy? – taki oto temat do rozważy zaproponowała niedawno czytelnikom redakcja miesięcznika „Znak” (numer 10/2021). Od autora jednego z zamieszczonych tam tekstów, socjologa Jana Jęcza, dowiedziałem się, iż w badaniach poczucia humoru, przeprowadzonych u nas przez agencję TNS Polska, dwadzieścia dwa procent respondentów zadeklarowało, że w ogóle nie lubi żartów i źle się czuje w polskiej „wspólnocie śmiechu”. Zaciekała mnie ta informacja, bo sam się do owej mniejszości zaliczam: choć bardzo sobie cenię zmysł ironii, śmieję się coraz rzadziej, a jeśli już, to prawie zawsze śmiechem wymuszonym, sztucznym. Dlaczego?

*

Dawno, dawno temu potrafiłem śmiać się szczerze. I to jak... Prawdziwe paroksyzmy wesołości wzbudzały we mnie na przykład dwie książki uwielbiane przez matkę. Czytaliśmy je oboje bez końca, śmiejąc się do rozpuku. Ja miałem dwanaście, matka trzydzieści siedem lat.

Pierwszą z owych książek był zbiór felietonów Antoniego Słonimskiego *Załatwienie odmownie*. Autor śmieszył mnie między innymi dlatego, że doskonale zdawał sobie sprawę, iż powszechne dowcipkowanie przy każdej okazji staje się nieznośne, i potrafił temu dowcipnie przeciwdziałać. „Bardzo to zdrowa i dobra rzecz opowiedzieć żart absolutnie wyprany z dowcipu. Efekt jest piorunujący. Kiedyś w normalnym towarzystwie opowiadającym sobie ostatnie dowcipy opowiedziałem następującą anegdotkę: Do pewnej pani na ulicy podszedł jakiś pan i spytał: «Czy mogę panią odprowadzić?»». A ona się odcięła: «Nie. Niech pan lepiej siebie odprowadzi». Nastąpiła głucha cisza i wszystkim zrobiło się bardzo przykro”.

Dowcipyne antydowcipy, które wśród ludzi na pozór dowcipnych wywołują słynną „głuchą ciszę”, w mistrzowski sposób opowiadał Mark Twain, autor jednej z najśmieszniejszych na świecie książek *Przygody Hucka*, uznawanej za fundament literatury amerykańskiej. Słonimski pisał, że naśladować humor Twaina jest równie trudno, jak trudno jest naśladować mistrza biegu przez płotki, i nie należy tego próbować. Naśladowania Słonimskiego też bym nie polecał. Jak tu zresztą naśladować jego słynny opis książki telefonicznej albo humoreski o kłamiących dzieciach? „Spytałem kiedyś pięcioletniego chłopca, czy ma braci. – Mam brata – odpowiedział. Zupełnie rozsądna odpowiedź. Zachęcony tym, spytałem: – A ile lat ma twój braciszek? – Osiemdziesiąt trzy – odpowiedział malec. Nie uderzyłem szczeniaka (było to w cudzym domu, a gdy jestem z wizytą, niechętnie biję dzieci gospodarzy)”.

Druga książka, którą czytaliśmy z matką, pękając ze śmiechu, to antologia *Mądrości żydowskie* opracowana przez Andrzeja Drożdżyńskiego. Całkiem niedawno dowiedziałem się, że ten łódzki Żyd cudem przeżył Oświęcim, gdzie ładował

trupy zagazowanych ludzi do pieca. Po wojnie wydawał różne humorystyczne mądrości, najpierw po polsku, a po emigracji w 1968 roku, po niemiecku. Ciężko chory na raka, jeszcze na kilka dni przed śmiercią telefonował do przyjaciół, opowiadając im kawały. Możliwe, że po wszystkich okropnościach czasu Zagłady, których był świadkiem i w jakimś sensie uczestnikiem, znalazł sposób, by stworzyć sobie quasi-rzeczywistość, która nie jest na serio i można ją z tej racji akceptować.

W czytanej przez nas antologii nie było niewybrednych „szmoncesów” o Żydach, tylko wspaniały, nieco melancholijny, nieco autoironiczny dowcip żydowski wykpiwający różne własne śmieszności. Matka za najbardziej dowcipną uważała historię Żyda, który poprosił lekarza o poradę, bo ciągle sam do siebie mówił. „– Czy pan odczuwa jakieś bóle? – spytał pacjenta lekarz. – Nie. – W takim razie nie ma się pan co martwić. Widzi pan, miliony ludzi mówi do siebie. – Tak, panie doktorze – powiedział pacjent – ale pan nie wie, jaki ja jestem nudziarz”.

Mnie jeszcze bardziej śmieszył galicyjski Żyd, który postanowił odpowiedzieć na ogłoszenie, że dla dzieci barona Rotszylda poszukiwany jest nauczyciel gry na fortepianie ze znajomością języków angielskiego i francuskiego. Sekretarz Rotszylda spojrział na niego ze zdumieniem. – „Przepraszam pana bardzo, a czy pan zna angielski i francuski? – Nie, nie znam. – A czy pan umie udzielać lekcji gry na fortepianie? – Nie, nie umiem. – To po co pan przyszedł? – Przyszedłem powiadomić pana barona Rotszylda, żeby na mnie nie liczył”.

*

Tak, na tego rodzaju żarty potrafiłem i nadal zresztą potrafię reagować szczerym śmiechem. Piszę o tym nie dlatego, aby rytualnie ponarzekać na współczesną kulturę, w której wyrafinowany humor zastąpiły niewybredne sitcomy, memy, internetowe wyglupy czy żenujące programy kabaretowe. Nie. Nie o to mi chodzi. Moja obecna awersja do dzisiejszej naszej wspólnoty śmiechu ma, jak sądzę, głębsze – etyczne i estetyczne podstawy. Żeby to wytłumaczyć, będę musiał cofnąć się do czasu PRL, w którym spędziłem więcej niż połowę swojego życia, a więc do czasu panowania władz komunistycznych.

Ale najpierw dygresja o poczuciu humoru w warszawskim świecie literackim lat trzydziestych XX wieku. Witold Gombrowicz we *Wspomnieniach polskich* opisywał charakterystyczny dla tamtego czasu fenomen: grono zapijaczonych poetów i satyryków – Światopełk Karpiński, Janusz Minkiewicz, Tadeusz Dołęga-Mostowicz i inni – jednoczących się pod znakiem drwiny, dowcipu, kalamburu, kawału, igraszki. Niczego oprócz wódki nie brało się tam na serio. „Poprzez humor dostępowała zbawienia ta niekończąca się pijatyka”. Autor *Ferdydurke*, dobrze już w tym świecie osadzony i adorowany przez pijane bractwo dowcipnisiów, nawet kiedy sam był mocno pod gazem, w towarzystwie swoich kompanów jedynie udawał, że się bawi, w ciągłej licytacji na najlepsze kawały nie brał udziału, nie umiał się nimi entuzjasmować. „Gdy opowiadano, jak Świątek w pijanym widzie woził ryby windą, żeby miały przyjemność, jak Minio o siódmej rano, wymacawszy po całonocnej libacji absolutną pustkę w kieszeni, umieścił się przed wielce szanowną pensją panny Plater i z kapeluszem w ręku błagał nadchodzące pensjonarki

o choć grosik na wódkę, ja wprawdzie oceniałem humor tych sytuacji, ale jak gdyby z daleka”.

Obserwując owo gremium, dla którego Bogiem było poczucie humoru, Gombrowicz nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że panuje tam głęboki smutek, bezradność, poczucie przegranej. Humor był reakcją na „absurd polskiej sytuacji, jej tragiczną bezwyjściowość, która stawiała znak zapytania przy każdym rzetelnym wysiłku”. Wieczni żartownisie – pisał – „z roku na rok bardziej brnęli w rozwiązłość i we wszystkie związane z nią świństwemka – z roku na rok bardziej przegrani, bardziej pijani i bardziej zrozpaczeni. Aż przyszła wojna”.

A po wojnie władza ze Wschodu. Komunizm.

*

Philip Roth, klasyk literatury amerykańskiej, opowiadał, że kiedy wkrótce po „rewolucji 1989 roku” przyjechał do Pragi czeskiej i udał się na spacer po handlowej dzielnicy miasta, niedaleko placu Waclawa, zauważył tłumy rozbawionych ludzi przysłuchujących się jakiemuś człowiekowi widocznemu na dużych telebimach. „Nie znam języka czeskiego, ale domyśliłem się, że chodzi o komika – i to wyjątkowo śmiesznego – ponieważ *staccato* jego monologu, otwarcia, przerwy, zmiany tonu u słuchaczy na zewnątrz celowo wywoływały to salwy śmiechu, to ryki radości, a w kulminacyjnych momentach gromki aplauz. Wszystko przypominało reakcje na film Chaplina”. Dopiero po pewnym czasie Roth zorientował się, że komikiem był Miloš Jakeš, były pierwszy sekretarz Czeskiej Partii Komunistycznej przemawiający podczas zamkniętego zebrania partyjnych aparaczyków w przemysłowym mieście Pilzno; taśma z przemówieniem nagrana została potajemnie przez pracowników czeskiej telewizji. Przyglądając się rozbawionym ludziom na ulicy, u których zaledwie kilka miesięcy wcześniej komunistyczne kłamstwa i brednie wzbudzały wstyd i odrazę, Roth pomyślał, że „taki musi być najważniejszy cel śmiechu, święty powód jego istnienia – pogrzebać podłość”.

W Polsce, która uchodziła za „najweselszy barak w obozie socjalistycznym”, komunistów wyśmiewaliśmy na długo przed upadkiem komunizmu – może nie publicznie, ale prywatnie. Nieświadomie nawiązując do znanej teorii śmiechu Henri Bergsona, uznawaliśmy komunizm za jeden wielki „zbiorowy defekt”, domagający się natychmiastowej korektury. Śmiech wydawał się taką właśnie korekturą. „Grotecha, bracie, grotecha” – rechotał bohater jednej z powieści Ireneusza Iredyńskiego. Kiedy zaczynałem studia na początku lat siedemdziesiątych, wielu moich rówieśników powtarzało tę frazę; przekonanie, że życie w PRL jest „groteką”, pozwalało się od niego zdystansować. Śmiech był bronią bezbronną, siłą bezsilną; mało kto jednak zdawał sobie sprawę, że także ci, którzy wyśmiewają, sami bywają śmieszni.

Całkiem inaczej spojrzałem na tę sprawę, przeczytawszy w przemycanych do kraju numerach paryskiej „Kultury” dwa eseje Leszka Kołakowskiego: *Tezy o nadziei i beznadziejności* i *Sprawa polska*. Autor pisał o potrzebie życia w godności. Godności, którą można utracić, nie tracąc rozumu, a z rozumem – zdolności do ironii; „można więc umrzeć bez godności w konwulsjach bezsilnego śmiechu.

Życ w godności natomiast nie jest sprawą śmieszną...”. Może więc przejawem świadomości fałszywej było mniemanie, że śmiech w PRL to jedyna broń bezbronnych? I czy Polacy żyjący w narzuconym systemie rzeczywiście byli bezbronni? Przecież środki presji na despotyzm socjalistyczny – pisał Kołakowski – znajdują się pod ręką, są w dyspozycji niemal każdego. „Polegają tylko na wyciąganiu konsekwencji z najprostszych przykazań, które zakazują przemilczania świństw, czapkowania przed panem, wyłudzenia jałmużny za pokorę i innych, podobnych zachowań”. Zakazują też kłamstwa. „Choćby kłamstwo wszystko zalało, choćby wszystkim zawładnęło, trwajmy przy minimum: niech władza NIE PRZEZE MNIE” – pisał Aleksander Solżenicyn w tekście napisanym kilka godzin przed aresztowaniem i wygnaniem z ZSRR. Zalecenie Solżenicyna „nie kłam!” Kołakowski uznawał za wymaganie maksymalne raczej niż minimalne. Gdyby bowiem wszyscy odmówili udziału w zakłamaniu, system komunistyczny upadłby natychmiast.

*

W tekście pod znaczącym tytułem *Polskie niepoczucie humoru* felietonista tygodnika „Newsweek” Krzysztof Varga pisze dzisiaj o swoim „potwornym zmęczeniu” naszą wspólnotą śmiechu. Jako zwolennik czarnego humoru ubolewa, że polski humor nie jest ani czarny, ani czerwony, ani biały. „Nie jest to humor żadnego koloru, bo coś, co nie istnieje, nie ma przecież barwy”. Po obejrzeniu w kinach kilku smutnych komedii o życiu w Polsce Varga dochodzi do wniosku, że prawdopodobnie ich reżyserzy siłą się na dowcip łopatologiczny, najlepiej koszarowej proveniencji, bo sądzą, iż tylko taki Polacy są w stanie zrozumieć. Dlaczego? Odpowiedzi na to pytanie autor nie daje. Daje natomiast posępne proroctwo: „Satyra na sfrustrowanych rodaków nakręcona przez zdolowanych reżyserów to dowód na to, że nie ma dla tego kraju ratunku. Nasze poczucie humoru będzie coraz żałośniejsze, nasza frustracja coraz większa, nasza bezsilność coraz potężniejsza, a nienawiść coraz szybciej się nakręcająca”.

Może więc przemyśleć lekcję Gombrowicza i Kołakowskiego, twórców, którzy znali siłę i bezsilę śmiechu, i wyciągnąć z tej lekcji wnioski.

*

Czy na stare lata w ogóle już się nie śmieję? Nic podobnego. Nie dalej jak wczoraj rozśmieszył mnie mój własny sen. Śniło mi się, że kiosk Ruchu, w którym przez dwadzieścia lat kupowałem na Żoliborzu gazety, objęła moja młodsza, dobra niegdyś koleżanka, recenzentka teatralna „Gazety Wyborczej”, a obecnie pryncypalna pani wiceminister kultury, sztuki i dziedzictwa narodowego. W kiosku Wanda Zwinogrodzka osobiście obsługiwała klientów, kiedy więc tam zaszedłem, poprosiłem ją o „Express Wieczorny” i „Kurier Polski”, dwie najpopularniejsze w PRL popołudniówki (typowe dla rojeń sennych przemieszanie czasu i przestrzeni). Podała mi je i przyjmując należność, powiedziała wyniośle: – A więc takie mamy dzisiaj plany na popołudnie!

Co w tym śmiesznego? Eh, długo by mówić...